

*To miasto przypominało grób, który się otworzył i zamierzał odgrzebać wszystkie swoje sekrety. Sekrety, o których istnieniu nikt nie miał pojęcia.*

# JAIME JO WRIGHT

# NIEOBECNA

**Tytuł oryginału:**

The Curse of Misty Wayfair

**Autor:**

Jaime Sundsmo

**Tłumaczenie z języka angielskiego:**

Elżbieta Zawadowska

**Redakcja i korekta:**

Brygida Nowak  
Dominika Wilk

**Skład:**

Alicja Malinka

ISBN 978-83-66297-44-9

© 2019 by Jaime Sundsmo by Bethany House Publishers, a division of Baker Publishing Group

© 2020 for the Polish edition by Dreams Wydawnictwo

Cover design by Jennifer Parker

Cover photography by Joan Kocak / Trevillion Images

Vectors by Freepik

Dreams Wydawnictwo Lidia Miś-Nowak

ul. Unii Lubelskiej 6A, 35-016 Rzeszów

[www.dreamswydawnictwo.pl](http://www.dreamswydawnictwo.pl)

Rzeszów 2020, wydanie II

Druk: Print Group

Książkę wydrukowano na papierze Ecco book cream 2.0 70 g

dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o. o.



Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych, przekazywana w jakiegokolwiek mechanicznej, elektronicznej lub innej formie zapisu bez pisemnej zgody wydawcy.

# JAIME JO WRIGHT NIEOBECNA

Tłumaczenie **Elżbieta Zawadowska**

## REKOMENDACJE DLA *NIEOBECNEJ*

„*Nieobecna* to znakomita powieść gotycka, która daje wyraz niepospolitego talentu Jaime Jo Wright. Pożerałam tę wciągającą opowieść aż do północy i było mi bardzo przykro, kiedy się skończyła. Doskonałe tempo i narracja! Nie wolno przegapić!”

– COLLEEN COBLE, BESTSELLEROWA AUTORKA *USA TODAY*

„Olśniewający styl połączony z tak mistrzowską narracją to rzadkość. W *Nieobecnej* Jaime Jo Wright łączy z powodzeniem oba te elementy. Intryga zaczyna się niemal natychmiast i trwa aż do ostatnich stron. Plotąc opowieść o dwóch kobietach, związanych ze sobą w sposób, którego nie potrafią wytłumaczyć, Wright stworzyła historię, dzięki której powiemy: «Cały wieczór przed telewizorem? Nie, cały wieczór z książką Jaime Jo Wright»”.

– JAMES L. RUBART, BESTSELLEROWY AUTOR  
POWIEŚCI *THE MAN HE NEVER WAS*

„Dwie historie zaplatają się w jedną opowieść, która utrzymuje uwagę czytelnika od początku do końca. *Nieobecna* jest smakowicie pasjonująca, a jej zakończenie pełne światła nadziei. Jaime Jo Wright otula swoje piarstwo szczerą miłością do ludzi – do ich talentów i wyzwań, przed jakimi stają, i prawdy, która ich wyzwala”.

– JOCELYN GREEN, AUTORKA *BETWEEN TWO SHORES*

„Jaime Jo Wright powtarza swój sukces. *Nieobecna* to zniewalająca i głęboko wzruszająca opowieść o dwóch kobietach,

które dzieli cały wiek, zaplątanych w tajemniczą przeszłość miasta. Nie zgasisz światła, dopóki nie skończysz czytać ostatniej strony”.

– KARA ISAAC, AUTORKA KSIĄŻKI *THEN THERE WAS YOU*,  
ZA KTÓRĄ ZDOBYŁA NAGRODĘ RITA

## REKOMENDACJE DLA *DOMU PRZY FOSTER HILL*

„*Dom przy Foster Hill* autorstwa Jaime Jo Wright łączy przeszłość i teraźniejszość w przykuwającą uwagę opowieść pełną tajemnic o wierze i grzechach przodków”.

– FOREWORD REVIEWS

„Debiut Wright, w którym najważniejsze są dwie postacie kobiece, to bogata w szczegóły powieść, prześlizgująca się gładko pomiędzy teraźniejszością a przeszłością, prowadząca do odkrycia zadziwiających sekretów rodzinnych, za które niejeden byłby gotów zabić. Czytelnicy, którzy lubią powieści Colleen Coble i Dani Pettrey, będą z pewnością zaintrygowani trzymającą w napięciu tajemnicą”.

– LIBRARY JOURNAL

„Jaime Jo Wright to zadziwiająca autorka, przez którą siedziałam jak na rozżarzonych węglach i przewracałam kartki tak szybko, jak mogłam, byle dotrzeć do końca powieści. *Dom przy Foster Hill* to po mistrzowsku opowiedziana historia z wieloma warstwami tajemnic i intryg oraz odrobiną romansu dla zachowania porcji”.

– TRACIE PETERSON, AUTORKA SERII GOLDEN GATE SECRETS

*Dla moich dzieci – małej CoCo i Piotrusia Pana  
Obyście odnaleźli swoją tożsamość nie w przeszłości,  
teraźniejszości lub przyszłości.  
Obyście odnaleźli cel nie w sobie, w rodzinie  
lub w tych, którzy Was otaczają.  
Obyście wiedzieli, że zostaliście zaprojektowani  
przez Stwórcę z ogromną dbałością o szczegóły.  
Obyście Go poznali i dzięki temu poznali siebie.*

„W tym miejscu muszę się z Wami podzielić pewnym spostrzeżeniem. Od chwili, gdy znalazłam się na mieszczącym się na wyspie oddziale dla obłąkanych, nawet nie próbowałam odgrywać zaplanowanej wcześniej roli osoby chorej psychicznie. Rozmawiałam ze wszystkimi i zachowywałam się wobec nich tak, jak to czynię w swoim codziennym życiu. A jednak, choć to brzmi dziwnie, im rozsądniej mówiłam i postępowałam, tym większe przypisywano mi szaleństwo”.

Nellie Bly, *Dziesięć dni w zakładzie dla obłąkanych*<sup>1</sup>

---

<sup>1</sup> *Ten Days In a Mad-House* – reportaż amerykańskiej dziennikarki śledczej. Własne tłumaczenie tytułu i fragmentu (przyp. red.).

## ROZDZIAŁ 1

# *Thea Reed*

PLEASANT VALLEY

NORTHWOODS, WISCONSIN, 1908

Melancholia była stanem duszy i serca, lecz również umysłu. Mimo to nigdy nie widziała, by melancholia zapanowała nad życiem i skłoniła ciało, żeby spoczęło w wiecznym śnie. W spokoju? Można było mieć taką nadzieję. Lub się modlić, jeśli się przejawiało takie upodobania. Tak czy inaczej, gdy Thea Reed zbliżyła się do zwłok, z aparatem fotograficznym przyciśniętym do piersi, uznała melancholię za coś fascynującego ze względu na jej wieczny uścisk i wpływ, jaki wywierała nawet na śmierć. A fakt, że mogła zabrać ludzkie życie, wydawał się przerażającą tajemnicą.

*Memento mori*<sup>2</sup> odgrywało coraz mniejszą rolę w świecie fotografii, lecz ci bardziej sentymentalni wciąż hołdowali tej tradycji. Rose Coyle należała właśnie do tego gatunku. Pozowała obok zmarłej siostry, zastygłej w czasie, jakby obie były żywe. I choć w oczach Rose stanęły łzy, plecy miała sztywno wyprostowane.

Thea odsunęła towarzyszące jej zawsze poczucie winy powodowane tym, iż czerpie zyski ze smutku innych ludzi.

<sup>2</sup> *Memento mori* (łac.) – pamiętaj o śmierci; tu: zdjęcia pośmiertne (łac. *post mortem*)

Tę makabryczną pracę rozpoczęła już jako dziewczynka. Opiekunka z sierocińca poinformowała Theę, że wędrowny fotograf i jego żona potrzebują pomocnika. Dekadę później to ona została fotografem, gdyż jej dobroczyńcy nie żyli. Ale jaki miała wybór? Tylko pozostawiony list zawierał ślady, które mogły stanowić wskazówki co do jej przeszłości. Pokusa odkrycia, kim mogła być naprawdę Thea Reed, przyniosła ją do tego miasta, lecz wiedziała, że marzenia o przyszłości snuły kobiety wysoko urodzone. Sieroty grały kartami, jakie im rozdano, nawet jeśli okazały się dość upiorne.

Thea popatrzyła na Rose kątem oka, składając starannie swój sprzęt fotograficzny. Rose była mniej więcej w jej wieku, może o kilka lat starsza. Przynajmniej jeśli oceniało się ją po porcelanowej cerze, braku zmarszczek w kącikach lśniących niebieskich oczu i kruczoczarnych włosach upiętych w błyszczącą jedwabistą koronę na czubku głowy. Thea przeniosła spojrzenie na drugą modelkę, stwarzając Rose możliwość otarcia oczu chusteczką obszytą fioletowym haftem.

Następnie otworzyła pokrywkę obitej atlasem kasetki, w której chowała aparat. Przed włożeniem go na miejsce zawahała się przez chwilę. Zmarła kobieta, Mary Coyle, nie odznaczała się tak zachwycającą urodą jak jej starsza siostra. W porównaniu z nią miała raczej pospolity wygląd i można było się domyślać, że za życia przy Rose musiała się wydawać nijaka. Popielatoblond włosy, matowe z braku witalności. Usta barwy przytłumionego różu, nos usiany piegami, które teraz nie miały już szansy zniknąć. Jej bezwładne ciało zmuszono do pozycji wyprostowanej za pomocą specjalnej metalowej podpórki Thei, podtrzymującej ramiona i szyję zmarłej, dzięki czemu stała niczym

manekin wystawiony w witrynie sklepu panny Flannahan cztery miasta dalej.

Pociągnięcie nosem skierowało uwagę Thei z powrotem na żywych i rozproszyło jej myśli wirujące w głowie jak dziecięce bączki na drewnianej podłodze.

– Przepraszam. – Rose zamrugła szybko powiekami, lecz wilgoć na rzęsach sprawiła tylko, że jej oczy wydały się jeszcze większe i bardziej opalizujące.

Thea doznała przez chwilę poczucia niedoskonałości, jednak natychmiast je odrzuciła, jak figiel małego rozrabia-ki. Jej piwne oczy i miodowobrazowe włosy wydawały się mało efektowne w porównaniu z urodą Rose, ale ona miała życie – Thea wreszcie odłożyła aparat do kasetki – podczas gdy tej kobiecie pozostał tylko smutek.

– Nie ma za co przepraszać. – Thea nie musiała się nawet starać, by mówić głosem pełnym współczucia. Całe popołudnie musiało być straszne dla Rose Coyle.

– Ale ta fotografia... – Głos Rose przeszedł w zduszony szepet.

Thea zapięła kasetę.

– Fotografia będzie znakomita, obiecuję.

Przynajmniej taką miała nadzieję. Rose była tak rozedrgana, że czas, przez jaki światło musi padać na obiektyw, który następnie rejestruje obraz, wydawał się gwarantować poruszone zdjęcie. Jednak w porównaniu z trupem każda żywa istota sprawiałaby wrażenie zbyt ruchliwej.

Pozostawiła tę obserwację dla siebie. Przyzwyczyła się do śmierci, do zwłok, lecz w czasach zwiększonego niepokoju nasuwały się jej pewne pytania, zwłaszcza gdy czymś się denerwowała. Kiedy w powietrzu krążyły duchy, ich kościste

jak u szkieletów palce muskały kark Thei. Drwiły, prowokowały, rzucały wyzwania, by je znaleźć. Schwytać. Gdyby tylko Thea mogła temu podołać. Duchów nie dawało się złapać, gdyby to było możliwe, leżałyby w grobach razem z ciałami. Nie, Thea wiedziała, że duchy blakają się na wolności. Niektóre były dobre, inne zrozpaczone, a jeszcze inne – te najgorsze – niegodziwe i złe.

– Może herbaty?

– Słucham? – Thea uniosła gwałtownie głowę znad aparatu. Nie napotkała jednak spojrzenia Rose. Zamiast tego jej wzrok spoczął na Mary Coyle, którą musiała uwolnić z prowizorycznego rusztowania.

– Pytałam, czy zostanie pani na podwieczorek. – Najwyraźniej Rose wydobyła z siebie resztki sił, lzy zniknęły, choć udawany spokój nie mógł przesłonić cieni pod jej oczami.

Thea skinęła głową, zanim zdążyła się nad tym zastanowić, współczucie wzięło górę nad zdrowym rozsądkiem.

– Tak, poproszę – odparła, ale szybko ugryzła się w język. *Nie, dziękuję.* „Nie nawiązuj kontaktów towarzyskich z klientem”. Tak zalecał jej pracodawca, pan Mendelsohn, a żona w pełni podzielała jego zdanie. Thea zwykle przestrzegała tej zasady.

Rose tymczasem wyszła już z salonu, szepcząc coś pod nosem. Teraz zrobiło się za późno, by odmówić, byłoby to zbyt niegrzeczne. Należało zakończyć wizytę ułożeniem ciała na łóżku, zanim przedsiębiorca pogrzebowy umieści je w trumnie na wieczny spoczynek. Teraz jednak podczas podwieczorku mogło być jej o wiele trudniej poskromić zainteresowanie życiem Mary i jej niedawną śmiercią.

Oswobodzenie zmarłej z tymczasowych podpórek, które podtrzymywały jej ciało, zajęło Thei sporo czasu. Gdy ułożyła i przykryła zwłoki, cofnęła się o krok.

– Przykro mi, że miałaś takie smutne życie – szepnęła Thea.

Mary nie odpowiedziała.

Thea zaczerpnęła powietrza i wypuściła je wolno przez usta, zbierając swój sprzęt. Podeszła do drzwi salonu, lecz nie dawało jej spokoju pewne wrażenie – pewne odczucie – które kazało się jej zatrzymać. Zerknęła przez ramię. Mary się nie poruszyła. Oczywiście, że się nie poruszyła. Ani też nie wyrzekła ani słowa.

Jednak dziwnym trafem czarna krepa zasłaniająca fotografię Mary z czasów, gdy była dzieckiem, zsunęła się z fortepianu na stół do gry, a następnie spoczęła w prześwietlającym zwoju na podłodze. Thea wpatrywała się w zdjęcie. Obok dziewczyny stała dwójka rodzeństwa, nie tylko siostra. Cała trójka się uśmiechała. Wszyscy byli dorastającymi dziećmi.

Thea skinęła głową. Teraz rozumiała.

Kiedyś Mary zaznała szczęścia.

Zanim śmierć dała o sobie znać.



Rose okazała się bardzo miła – i gadatliwa. Najprawdopodobniej próbowała uwolnić się spod ciężaru smutku. Thea starała się udzielać niepełnych odpowiedzi.

Tak, to jej pierwszy pobyt w mieście. Tak, wędrowni fotografowie czasem pukali do drzwi, by zapytać, czy ktoś nie



potrzebuje ich usług. Nie, nie przyjechała tutaj z zamiarem odwiedzenia rodziny. Nie, nigdy nie dotarła tak daleko na północ Wisconsin.

Skrzywiła się w środku. Nie mówiła całej prawdy. Mogła dotrzeć. Jako dziecko, zanim jej wspomnienia zdążyły się w pełni uformować. Pozostały tylko mgliste wizje. Dlatego zresztą wybrała się na północ, prawda? Aby usunąć mgłę z tych zamazanych retrospekcji.

Oczywiście nie zamierzała mówić o tym Rose. Thea wołała anonimowość. Choćby z tego powodu, że zdążyła się do niej przyzwyczaić, uważała taki stan za wygodny, a poza tym, gdyby ją zapytano, kim jest, nie miałyby nic znaczącego do powiedzenia.

Przytknęła lnianą serwetkę do ust. Rose napotkała jej zaciekawione spojrzenie nad brzeżkiem filiżanki. Wciąż czaił się tu smutek, ale ciemne brwi kobiety były pytająco uniesione. Zachęcające i ciepłe.

Thea przyjęła to nieme zaproszenie. Nastął czas, by odwrócić uprzejme zainteresowanie Rose, zadając własne pytania.

– Odniosłam wrażenie, że miała pani brata.

Nie nawiązała do fotografii, którą zakryła z powrotem przed wyjściem z salonu.

Rose odstawiła filiżankę.

– Wciąż go mamy.

My. Tak jakby Mary nadal żyła. Czas przeszły nie istniał.

– Simeona. – Usta Rose wypowiedziały to imię pieszczotliwie, z uczuciem, do którego Thea nie potrafiła się odnieść. Kobieta uśmiechnęła się jednym ze swoich słodko-gorzkich uśmiechów, kiedy przesunęła palcem po brzegu filiżanki.

– To mój młodszy brat. Średni, pomiędzy Mary i mną. On jest... wyjątkowy.

Zainteresowanie Thei wzrosło, lecz jednocześnie coraz bardziej pragnęła uciec z tej ponurej atmosfery i odjechać w swoim zaprzęgu. Poruszyła się na twardym drewnianym krześle. Koronkowy obrus zsunął się pod jej nogę i napiął tak, że szczęknęła stojąca na stole zastawa. Stało się to pretekstem do wyjścia.

– Bardzo dziękuję za herbatę. – Thea przypomniawszy sobie manieri, które zdążyła jej wpoić pani Mendelsohn w ciągu tych krótkich lat, jakie razem spędziły.

Rose zaczerpnęła powietrza i wzdrygnęła się lekko.

– A fotografia?

No tak. Interesy. Thea podała orientacyjny termin. Musiała znaleźć odpowiednie miejsce, by wywołać płytki. W swoim wozie miała trochę sprzętu, ale niewystarczająco dużo. Lepszym rozwiązaniem wydawało się znalezienie studia, z którego mogłaby korzystać. Nie wiedziała, czy to jest przyjęte, ale w taki sposób postępował pan Mendelsohn i Thea zdążyła się do tego przyzwyczaić.

Rose zaprowadziła Theę do wyjścia, wełniany chodnik tłumiał ich kroki – gdyby nie on, rozbrzmiewałyby na porysowanej orzechowej podłodze. Jak zwykle spostrzegawcza Thea zauważyła, że przy samym wejściu tapeta była bardziej wyblakła niż w pozostałej części holu, co miało sens, zważywszy, że po obu stronach frontowych drzwi znajdowały się dwa okna. Słońce z pewnością wysysało kolor z papierowych róż. Thea znów skierowała uwagę na klientkę. Życie odsączyło kolor z jej policzków. Tylko szafirowa barwa jej oczu oraz czerni włosów i rzęs sprawiały, że nie wyglądała jak upiór.

– Mój brat przekaże pani częściową zapłatę. – Rose zawa-  
hała się i jej głos zabrzmiał nagle bardzo miękko. – Świetnie  
sobie radzi z liczbami.

– A gdzie go znajdzie? – zaryzykowała Thea.

Rose dotknęła palcami dekoltu i zaczęła się bawić ko-  
ronką przy szyi, jedyną ozdobą całkowicie czarnej żałobnej  
sukni. Wydawała się zaskoczona tym pytaniem.

– Pani brata? Simeona? – naciskała Thea.

– Tak. – Rose lekko przytaknęła, lecz jej oczy zdawały  
się puste i martwe. Opuściła rękę. – Simeon będzie w war-  
sztacie.

Thea doznała niemiłego wrażenia. Podobnie jak w salo-  
nie. Jak gdyby Mary ich obserwowała. Popularny zabobon,  
w który nie potrafiła przestać wierzyć.

Skinęła głową i chwyciła za klamkę. Chciała natychmiast  
wyjść. Nie starczyło jej odwagi, by rzucić ostatecznie spojrze-  
nie na salon, gdzie leżała Mary Coyle, ani na to, by popa-  
trzeć w posmutniałą twarz Rose.

Gdy już otworzyła drzwi, jej palce zetknęły się na chwilę  
z palcami Rose, ale odsunęła rękę i wyminęła dziewczynę,  
chwytnąjąc w nozdrza zapach jej perfum. Odwróciła się jesz-  
cze, by ją pożegnać, lecz Rose już zamykała, a jej twarz zni-  
kała w zwężającej się szczelinie między drzwiami i framugą.

Na ręce Thei wystąpiła gęsia skórka. Popatrzyła na swo-  
jego konia i wóz. Mogła po prostu stąd odjechać. Uniknąć  
spotkania z wyjątkowym Simeonem Coyle'em... cokol-  
wiek to miało oznaczać, i uwolnić się wreszcie od tego prze-  
rażającego domu i jego mieszkańców. Zanim zamknęły się  
drzwi, w oczach Rose dostrzegła jeszcze przeblysł strachu.  
Bała się może swojego brata? Lub czegoś potężniejszego

i straszniejszego niż melancholia, która odebrała życie bied-  
nej Mary Coyle?

Potrzebowała pieniędzy. Z tym postanowieniem ruszy-  
ła przed siebie ścieżką poprzez ogród skąpany w letnich  
kwiatach. Szczypiopek z najeżonymi fioletowymi pąkami,  
krzewy lawendy wypełniające powietrze wyraźnym zapa-  
chem, jednocześnie uspokajającym i ostrym, oraz miesza-  
na dzikich kwiatów kołyszących się lekko na wietrze. Ścież-  
ka biegła przez furtkę, a potem zniknęła. Do drzwi szopy,  
gdzie mieścił się warsztat Simeona, prowadziła piaszczysta  
dróżka gdzieniegdzie porośnięta trawą.

Thea zapukała mocno do drzwi. Nad jej głową przele-  
ciała jaskółka, która wylądowała na czubku dachu. Przekrzy-  
wiła łebek na prawo i zatańczyła niespokojnego walczyka na  
kalenicy.

Thea popatrzyła w koralikowate ślepka i zauważyła, że  
przed odlotem jaskółka szybko skinęła głową.

Pan Mendelsohn wierzył, że duchy przybierają czasem  
postać innych stworzeń. Może była to Mary Coyle, która  
wyrażała zgodę na to, by Thea odwiedziła jej brata w miej-  
scu pracy. Chociaż – zamrugnęła, gdy drzwi warsztatu zaczę-  
ły się otwierać – zabobony nie powinny sięgać tak daleko.  
Thea wiedziała niewiele o Bogu, ale pani Mendelsohn wie-  
lokrotnie przekonywała męża, że człowiek nie powraca na  
ziemię w zwierzęcej skórze. Taki pogląd uważała za bezboż-  
ny i bluźnierczy.

Tak jak Rose zamknęła drzwi, Simeon uchylił swoje z ner-  
wową podejrzliwością w przymrużonych szarych oczach.  
Brązowe włosy w kolorze pnia drzewa zaczesał z przedział-  
kiem pośrodku głowy. Patrzył na Theę. Może nie widział

nikogo obcego przez całe swoje życie? Otaksował ją spojrzeniem z góry na dół i dopiero wówczas otworzył drzwi na tyle szeroko, by mogła zobaczyć całą jego postać.

Simeon Coyle nie wyszedł z szopy. Ani nie przemówił. Miał kwadratową szczękę, szczupłe ramiona, na które założył szelki, i wydawał się tylko odrobinę wyższy od Thei. Nie dostrzegła w nim niczego wyjątkowego. Absolutnie niczego.

Patrzyli na siebie przez chwilę.

Simeon wyczekująco.

Thea z językiem związanym na supeł.

Było jednak coś dziwnego w Simeonie Coyle'u. Jego ostre, bystre spojrzenie nie pasowało do pustego wyrazu twarzy.

Odchrząknęła, próbując odzyskać głos.

Zamrugał.

Thea cofnęła się niezdarnie o krok. Z pewnością traciła zmysły. Mogłaby jednak przysiąc, że istniało pomiędzy nimi przyciąganie dusz, trudne do wytłumaczenia inaczej niż przez fakt, iż łączyło ich coś niesprecyzowanego. Coś, co należało jeszcze określić, o ile zaszłaby taka okazja.

– Przyszłam tylko po pieniądze. – Jej słowa zasypały dzielącą ich przestrzeń. Wyeliminowały rozpostartą między nimi nić, która nie miała żadnego sensu.

Simeon zamrugał, a na jego twarzy pojawił się grymas i jedno z oczu przymknęło się tak, jakby puszczał do niej perskie oczko. Thea była jednak przekonana, że to nie jest porozumiewawcze mrugnięcie. Mięśnie jego twarzy rozluźniły się bardzo szybko i Coyle znów zaczął się jej uważnie przyglądać. Jakiś ruch przykuł jej uwagę – mężczyzna wyciągnął rękę. W garści trzymał monetę, którą chciał zapłacić

połowę należności za usługę. Thea sięgnęła po pieniądze, a Coyle rozluźnił dłoń, by mogła je odebrać.

Wciąż nie wypowiadając ani słowa, mężczyzna zamknął drzwi. Zasuwka szczęknięła cicho. Thea jednak nie mogła pozbyć się wrażenia, że jakieś drzwi otworzyły się również w jej wnętrzu, a Simeon swobodnie wszedł do środka.